

# Zасыpywanie rowu

Po pewnej przerwie chciałbym powrócić do dyskusji zapoczątkowanej przez ABBĘ artykułem *Zасыpywanie rowu* („PAUza Akademicka” 373, 23.02.2017) na temat obserwowanego od lat narastania przepaści pomiędzy przedstawicielami nauk humanistycznych a przedstawicielami nauk przyrodniczych i technicznych. Z kolei znajomy ABBY zarzucił mu brak analizy powstania tego zjawiska, sam upatrując je w powstałej dominacji tych drugich wskutek gwałtownie przyspieszonego od czasów Oświecenia rozwoju nauk przyrodniczych i technicznych i związanej z nim rewolucji przemysłowej („PAUza”, 374, 2.02.2017). Doprowadziło to – jak stwierdza polemista – do sytuacji, w której „maszyny do łatwiejszego i masowego mordowania rozwijają się błyskawicznie”(…) „mamy już ‘osiągnięcia’ naukowe w postaci bomby atomowej, laserów, wojen gwiazdnych itp.” Z rozważań autora wynika wprost, że takie nie-szczęścia jak I i II wojna światowa spowodowane były rewolucją przemysłową. Z poglądem tym, moim zdaniem słusznie, polemizuje profesor Łukasz Turski („PAUza” 375, 9.03.2017), wskazując jednocześnie, że właśnie dzięki tej rewolucji nastąpiła poprawa warunków życiowych ogromnej liczby ludzi.

Wydaje mi się, że dyskusja poszła w innym kierunku, niż można było oczekiwać po artykule ABBY. Przecież przez wieki, gdy nikomu nie przychodziło na myśl mówić o „rowie” pomiędzy wspomnianymi naukami, ludzie mordowali się bardzo skutecznie, nawet wtedy, gdy niemal każdą ofiarę trzeba było dopaść osobiście. Eksterminacja Indian pochłonęła kilkadziesiąt milionów ludzi. W wojnie trzydziestoletniej zginęło ponad 10 milionów, słynna rzeź w Wandei to, według różnych szacunków, 150–300 tysięcy zabitych. Z wymordowaniem ok. 1,5 mln. Ormian poradzono sobie też bez bomby atomowej – by ograniczyć się do tych kilku przykładów.

Przepaść, o której mówimy, dotyczy elit akademickich i nie wynika, jak sądzę, z podziału nauk, lecz z formacji intelektualnej ich obecnych przedstawicieli – formacji innej od tej, którą jeszcze kilkadziesiąt lat temu reprezentowały środowiska uniwersyteckie. Świadczą o tym chociażby wspomniane przez Leszka Żylińskiego fragmenty wspomnień Romana Ingardena z pobytu na Uniwersytecie w Getyndze w latach 1913–1914 („PAUza” 376, 16.03.2017), gdy o przepaści między naukami jeszcze nikt nie mówił. Ingarden opisuje w nich ówczesną sytuację akademicką, która „dawała przede wszystkim ogromną różnorodność bodźców naukowych, i to zarówno na samych wykładach, jak i poza nimi. Kawiarnie były terenem, na którym poza uniwersytetem – zwłaszcza w zimie – spotykała się młodzież akademicka, wśród której zresztą było wielu ludzi z doktoratami (np. w stadium habilitacji itp.). Tam komunikowano sobie nowe wyniki naukowe, swoje i swoich profesorów, dyskutowano sprawy sporne itp. Czuło się, że bierze się udział w stającej się nowej nauce. Stykali się ludzie różnych zainteresowań naukowych – w najróżniejszych działach nauki – i różnych poglądów. Nie było zamknięcia się w jednej dyscyplinie i jednej szkole”.

Taki stan uniwersytetów zmienił się w ciągu kilkadziesiąt lat XX wieku, na co zwrócił uwagę, przywoływany przez ABBĘ profesor C. P. Snow w 1959 roku. Ale nie on jeden. Tenże Roman Ingarden odnotowuje w 1961 roku, mniemam, że niezależnie od Snowa, że: „wytworzyły się dziś prawdziwe mury między ludźmi i społecznościami różnych typów (naukowych, artystycznych, kulturalnych, religijnych), mury utrudniające, jeżeli zgoła nie uniemożliwiające porozumienie się w wielu sprawach teoretycznych, a – co gorsza – praktycznych. To, co ma być środkiem do porozumienia się i uzyskania zgody na te same twierdzenia, staje się zaporą nieraz nie do przebycia. Co więcej, jest nie tylko zaporą do porozumienia się między ludźmi, lecz także do dotarcia do rzeczywistości widzianej

i ujmowanej językowo przez kogo innego. Toteż trzymanie się z uporem własnego języka, własnego sposobu rozumowania, własnego wartościowania – to właśnie ów brak swobody wewnętrznej, który iluzoryczną czyni wszelką próbę dyskusji między ludźmi” („Przegląd Kulturalny”, 30.11.1961).

Uniwersytety ze wspomnień Ingardena zostałyby dziś zaklasyfikowane przez autorów raportu Uniwersyteckiej Komisji Nauki (*Tradycja akademicka i <postępowa zachowawczość>* „Forum Akademickie”, nr 7–8, 2017) jako uniwersytety „klasyczne”, które „jedynie mogą prowadzić działania oparte na społecznej odpowiedzialności, czyli kreowaniu postaw uważanych w danej kulturze za pożądane, mogą kontynuować tradycję kształcenia w społeczeństwie krytycznej inteligencji, krytycznej refleksji i unikać hołdowania zasadzie ‘przydatności’, zgodnie z którą kształcenie jest tylko środkiem, a nie celem”. Warto zauważyć, że wszystkie uczelnie określane mianem „uniwersytet” w czasach, o których wspomina Ingarden, były „klasyczne” i chyba „rowu”, o jakim mówimy, nie było wśród naukowców jeszcze o pokolenie młodszym od Ingardena. Oni do sfery akademickiej wchodziłi już w pewnym stopniu przygotowani jako absolwenci szkół średnich, zwłaszcza o profilu klasycznym. Wieloletnia nauka łaciny i greki, oparta na tekstach klasyków, wprowadzała młodych ludzi w historię kultury europejskiej, co pozwalało im widzieć własne badania w szerszym kontekście i nabywać umiejętności mówienia o nich w sposób ogólny, w dużej mierze wyrafinowanym językiem potocznym, o który chodziło Ingardenowi. Sprzyjało to tworzeniu formacji intelektualno-moralnej, nazywanej kiedyś mądrością i definiowaną m.in. jako „rodzaj wiedzy teoretycznej i praktycznej, łączącej namysł nad podstawowym porządkiem rzeczywistości z tworzeniem wartościowego życia i oceną możliwości jego realizacji, przy uwzględnieniu charakteru ludzi oraz okoliczności ich działań”, a we współczesnej antropologii filozoficznej opisywanej jako „usprawienie intelektu, umożliwiające dostrzeganie relacji przyczynowej między zdarzeniami oraz właściwą hierarchię przyczyn” (*Encyklopedia katolicka*, KUL, 2008 tom XII, str. 310). A więc „mądrość” jest stanem umysłu skrajnie różnym od tego, który opisał Julian Tuwim w *Strasznych mieszczańach*: „Oto idą, zapięci szczelnie/ Patrzą na prawo, patrzą na lewo/ A patrząc – widzą wszystko oddzielnie/ Że dom... Że Stasiek... Że koń... Że drzewo...”.

Z pewnością opis środowiska uniwersyteckiego, który znajdujemy we wspomnieniach Romana Ingardena, nie dotyczył jego całości, ponieważ, jak sam zauważa: „jeżeli dyskusja ma być istotnie owocna” (...) to „musi przede wszystkim wypływać z rzetelnej wewnętrznej potrzeby wszystkich biorących w niej udział” („Przegląd Kulturalny”, 30.11.1961), a trudno przyjąć, że taka potrzeba występowała u wszystkich. Czy istnieje ona dziś w środowisku akademickim? Wydaje mi się, że w minimalnym stopniu.

Na pytanie jednak, kto jest za ten stan odpowiedzialny – trudno chyba dać jednoznaczną odpowiedź. Inny typ kształcenia szkolnego może być jedną z przyczyn. Gwałtowny wzrost wiedzy we wszystkich dziedzinach zmusza do wielkiego wysiłku, aby utrzymać się na poziomie we własnej specjalizacji – profesjonalizm wypiera intelektualizm, i to we wszystkich naukach. Pojawiło się dużo „rowów”. Zabrakło agory – chyba nawet wśród filozofów. Permanentny brak czasu bardzo utrudnia rozbudzanie i rozwijanie zainteresowań intelektualnych. Władysław Tatarkiewicz w swoich wspomnieniach pisze, że jego doba składała się z trzech osmiodziesiętnych części: 8 godzin snu, 8 godzin pracy i 8 godzin innych zajęć, przynajmniej częściowo zbliżonych do tych opisywanych przez Ingardena w jego wspomnieniach z Getyndgi. Ilu uczonych może sobie teraz pozwolić, żeby żyć w takim rytmie?

ANDRZEJ PASZEWSKI

Instytut Biochemii i Biofizyki PAN